Paweł Kozłowski[1], *O równości i indywidualności. Trzy problemy związane z reformą*, „Res Publica”, nr 4, 1988, s. 75–82.
Hasła przedmiotowe: reforma gospodarczo-ustrojowa, przewidywania, problemy leżące u podstaw reformy.

Zbudowanie innej Polski nie może ograniczać się do naprawy i przekształcenia jej gospodarki. Motory i hamulce, siły ozdrowieńcze i ogniska chorobowe tkwią nie tylko w sferze wytwarzania, lecz i poza nią. Polak-producent łączy się w jednej osobie z Polakiem-konsumentem, Polakiem-obywatelem. Polakiem-członkiem rodziny i Europejczykiem, który przesiąknięty jest dziedzictwem i obyczajami narodowymi. Wola i wysiłek dokonania reformy, prognozy i programy są w społecznej praktyce modyfikowane, tasowane, powstrzymywane lub przyspieszane nie tylko przez stan gospodarki i kompetencje intelektualne reformatorów, lecz również przez wiele czynników tworzących całą złożoność życia społecznego. Jest to zresztą sytuacja poniekąd zwyczajna, dotyczy wszelkich społeczeństw i nie w samym fakcie jej występowania należy szukać cech swoistych, określających naszą specyfikę w Europie i na świecie. Nie owe powiązania i sprzężenia różnych dziedzin życia, lecz wypełniające je treści: obyczaje, nawyki, dążenia, idee i sposoby myślenia sprawiają, że narody i państwa Europy są nie tylko podobne do siebie, ale i różne. Te odrębności powstają w decydującej mierze na skutek działania czynników pozatechnologicznych, nieuchwytnych dla sformalizowanej, operującej modelami współczesnej nauki ekonomicznej. Czynniki te nie sposób precyzyjnie zmierzyć i zważyć, nie wystarczy „mędrca szkiełko i oko”, by móc je dostrzec i potraktować jako coś rzeczywistego. A są one przecież równie ważne jak sieć dróg, zasoby energii i paliw, bilans handlu zagranicznego, jak wielkość zbiorów zbóż i ilość dzieci chodzących do szkół. Trzeba je doceniać, analizować realia gospodarcze łącznie z realiami społecznymi, uwzględniać fakt, że choć nie można satysfakcji politycznych zastępować zadowoleniem z materialnych warunków życia, to jednak powiązania między tymi dwiema sferami narodowych aspiracji niewątpliwie istnieją. Czyli postępować tak, jak to jest w poważnych projektach reformatorskich, gdzie stwierdza się wprost, że naprawa ekonomiki i wzrost gospodarczy są częścią i zarazem warunkiem reformy Polski.

Powiązania wielu czynników decydujących o naszej współczesnej kondycji i o przyszłości kraju nie oznaczają, że wszystkie występujące relacje są symetryczne, a same elementy – równorzędne. Nie jest tak bodaj nigdy, a w każdym razie nie jest tak teraz. O sytuacji współczesnych społeczeństw w okresach ich normalnego funkcjonowania decyduje szeroko rozumiana gospodarka. Jej poziom i jej siły żywotne mają – co najmniej począwszy od epoki rewolucji przemysłowej – zasadnicze znaczenie,

[1] Paweł Kozłowski (???) – ekonomista, związany z Uniwersytetem Warszawskim.

one bowiem świadczą o sile państwa i dobrobytu narodu, one stwarzają najwięcej możliwości rozwoju innych dziedzin życia. Również w Polsce gospodarka należy do najważniejszych czynników decydujących o naszych ostatnich, obecnych i przyszłych latach. Wymaga ona głębokiej reformy, tak gruntownej, że wykraczającej daleko poza wąską sferę organizacji zarządzania. Zasadnicza jej zmiana wiąże się z wieloma dziedzinami życia, właściwie z całym życiem społecznym. Wśród wielu problemów zwracają uwagę trzy cechy społeczeństwa i jego powszechnej kultury, trzy elementy rzeczywistości wiążące się z transformacją gospodarki.

Pierwszy z nich to społeczne poczucie sprawiedliwości, a ściślej, konsekwencje jakie ze sposobu rozumienia sprawiedliwości wynikają dla reformy. Polacy przywiązują wielką wagę do społecznej równości dochodów i równości statusu materialnego. Postulatu równości nie należy, rzecz jasna, w tym wypadku traktować w sposób skrajny i dosłowny: nie oznacza on bezwzględnego dążenia do uniformizacji, ale głosi daleko posuniętą równość. Można się zastanawiać, gdzie przebiegają granice wytyczające przestrzeń pożądanej sprawiedliwości, lecz nie ulega wątpliwości, że zróżnicowanie majątkowe nie może być – w odczuciu powszechnym – duże, oraz że powinno mieć ono niezbyt wysoki dopuszczalny pułap. Tego rodzaju hasła można zresztą znaleźć zarówno na wywieszonych od ponad czterdziestu lat sztandarach ustrojowych, można je odczytać też z codziennego życia narodu. Choć zarazem szczególnie społecznie piętnowane nie są rozpiętości zarobków, ale różnice w dostępie do dóbr i rozmaite przywilej czerpane z lepszego miejsca pracy a nawet zamieszkania.

Sprawiedliwość dystrybutywna i egalitaryzm mają ograniczenia materialne: związane są z zasadami podziału, gdyż przecież dzielić można tylko to, co się wytworzyło. I choć pewna, nawet pokaźna, doza egalitaryzmu nie musi być sprzeczna z racjonalną formą nowoczesnego społeczeństwa, nie musi blokować wzrostu gospodarczego, to jednak jego nadmierna presja staje się czynnikiem hamującym i osłabiającym motywy skłaniające do intensywnego wysiłku produkcyjnego. Dzieje się tak wtedy, gdy zwiększony wkład pracy w niewielkim tylko stopniu poprawia sytuację materialną pracujących ludzi. Co właśnie może się przydarzyć, a właściwie już się przydarza we współczesnej Polsce.

Jak zatem zmniejszyć nadmierną presję egalitaryzmu, jak zwiększyć szanse ujawnienia się nieprzeciętności, społecznej akceptacji silnych indywidualności, innowacyjności i przedsiębiorczości? Jest to jeden z ważniejszych problemów stojących teraz przed reformatorami. Jego rozwiązanie mogą ułatwić trzy hipotezy próbujące wyjaśnić, skąd egalitaryzm czerpie swą siłę, jakie elementy współczesności są jego sprzymierzeńcami.

Po pierwsze, można sądzić, że łączenie sprawiedliwości z równością życia związane jest z dość niską stopą życiową Polaków, a przynajmniej ze zdecydowanie zbyt niskim – przeprowadzanych przez rodaków porównań i zapamiętanych obietnic – standardem życia. Kryzys i regres gospodarczy jeszcze pogłębił ową sytuację.

Rozpowszechniło się chwytliwe hasło o jednakowych u wszystkich żołądkach, bliskie prawdy w sensie dosłownym, ale fałszywe w rozszerzonym użyciu metaforycznym. Świadomość ubóstwa, a w każdym razie życia w dużym niedostatku, wywołuje potrzebę zrównania, wspartą przeświadczeniem, że tym, którym wiedzie się lepiej, wiedzie się tak kosztem innych, żyjących na granicy – albo poniżej – progu bezpiecznej egzystencji. Ta hipotetyczna przyczyna nie musi znajdować potwierdzenia w danych statystyczno-ekonomicznych, dotyczących poziomu życia, choć te wskazują na szczególnie ciężki los wielu rodzin. Wystarczy jednak, że znajduje miejsce w głowach ludzi, że wypływa na ich zachowania. Powstały w ten sposób stan umysłów wzmacnia chorobę gospodarki, stwarza sytuację, że ratunku szuka się w siłach nadprzyrodzonych, które żadnego z przyzwyczajeń nie zabiorą, a dadzą tylko to, co dobre.

Druga hipoteza ma swoje oparcie nie w społecznym odczytywaniu sytuacji gospodarczej, ale w obecnym stosunku ludzi do rzeczywistości społecznej, politycznej i organizacyjnej. Jest to stosunek krytyczny, pozbawiony przemyślanej, mentalnej akceptacji. Zasada podziału „każdemu po równo" jest jedyną sprawdzalną i wiążącą wszystkich w tym samym stopniu zasadą, możliwą do realizacji teraz i tutaj. Każda inna może ulec nadużyciu, może być wykorzystywana przez uprzywilejowanych, mniej jest podatna na kontrolę. W Polsce w ostatnich latach nastąpił znaczący spadek znaczenia autorytetów, które w życiu publicznym, jeśli występują w umiarkowanej formie, pełnią niezastępowane, pożyteczne funkcje. Wygasły autorytety popularne w początkach lat osiemdziesiątych, skompromitowały się (z wyjątkiem wojska i Kościoła) wcześniejsze, nie narodziły się nowe. Istniejące żywe autorytety mają zasięg nie większy niż obszar życia rodzinnego i życia małych grup. Faktycznej, a nie werbalnej siły mobilizacyjnej Kościoła też nie należy przeceniać. Kryteria podziałów dóbr proponowane przez instytucje, wynikające z przepisów i zatwierdzane przez autorytety społeczne nie są więc aprobowane, bowiem ich źródła nie budzą zaufania. Sceptycyzm i podejrzliwość, wiara jedynie w doświadczenie osobiste – wzmacniają przywiązanie do zasady „każdemu (prawie) po równo". Uznaje się je za najlepszą z możliwych, bo jedyną podlegającą bezpośredniej i powszechnej kontroli.

Trzecią wreszcie przyczyną mogącą pogłębiać postawy egalitarne jest widoczny w Polsce ostentacyjny model konsumpcji. Nie dotyczy to wszystkich, ale przecież wystarczy niewielu, aby pozostałych kłuł on w oczy. Ilość ma tu niewielkie znaczenie, w grę wchodzi bowiem wybiórczość widzenia, nastawienie i jednych, i drugich. Znane są wesela i przyjęcia wyprawiane wedle zadomowionej u nas zasady „zastaw się, a postaw się", nierzadki bywa sposób ubierania się, w którym najważniejsza nie jest funkcjonalność i wdzięk, lecz zagraniczne pochodzenie i łatwa do rozszyfrowania cena odzieży. Widoczne to jest przede wszystkim w stylu i skali budownictwa jednorodzinnego w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu. Wiele stojących jak kraj długi i szeroki domków i willi – wyposażonych w kolumny, łuki, mauretańskie ozdoby i inne stosowne do gustu właścicieli elementy – służy nie tylko do mieszkania, ale i do

podkreślania statusu. Konsumpcja prestiżowa i bliski jej „efekt demonstracji" wywołują szczególnego rodzaju niechęć – bo bezpośrednio temu właśnie mają służyć: ich celem jest wyróżnienie się, podkreślenie swej rangi, wywyższenie siebie, a pomniejszenie innych.

Konsumpcja prestiżowa albo wymuszone oszczędzanie nie muszą i nie powinny stanowić jedynej alternatywy dla osób posiadających nadwyżki dochodów, a tym bardziej dla ludzi mających znaczne już zasoby gotówkowe. Jest możliwa trzecia droga: przekształcanie odłożonych dochodów w kapitał, inwestowanie go w przedsięwzięcia własne lub uczestniczenie w przedsięwzięciach zespołowych. W ten sposób następować może niejako „odpersonalizowanie" części dochodów, złamanie sztywnych i szkodliwych podziałów na rażącą konsumpcję i narzucone oszczędzanie, zbliżenie stylu życia skoncentrowanego na teraźniejszości z wybiegającą w oddzieloną od teraźniejszości dalszą przyszłość. Jest to jednak tylko droga, możliwość wyboru i byłoby złudzeniem sądzić, że będzie ona powszechnie wykorzystywana. Może jednak być dla niektórych, choćby dla niewielu, atrakcyjna. Być może osłabi to również tendencję do utożsamiania tego, co moje z tym, co musi być wyłącznie i natychmiast do mojej dyspozycji – przeciwstawiania swojego – wspólnemu, na które nie ma się żadnego wpływu. Do zniesienia tych opozycji zmierza projekt reformy gospodarczej, zawierający postulaty wprowadzenia akcji, obligacji, stopniowego tworzenia rynku kapitałowego. Powinno przyczyniać się do tego umożliwienie uczestnictwa finansowego poszczególnych osób w przedsięwzięciach zbiorowych, w tym państwowych. Jednym słowem, chodzi o stworzenie ekonomicznie atrakcyjnych, a administracyjnie nieograniczonych warunków dla przeznaczenia przez obywateli – wedle ich woli – własnych zasobów materialnych na wytwarzanie lub rozwój działalności usługowej.

Postawy społeczne są na ogół stabilne, ich zmiana jest trudna, wymaga długiego czasu i cierpliwości. Nie można jej dokładnie zaplanować i przewidzieć wszystkich efektów. Nie są skuteczne werbalne hasła ani doraźne naciski administracyjne. Tworzeniu nowych postaw sprzyjają nowe warunki, korzystne dla pożądanych zachowań. W przypadku dwóch pierwszych wymienionych hipotetycznych przyczyn postaw egalitarnych Polaków, ich zmiana przez działania gospodarcze lub ekonomiczno-administracyjne jest obecnie niemożliwa albo możliwa w bardzo ograniczonym zakresie. Natomiast trzecia przyczyna ma związek nie tylko z cechami społecznymi i poziomem ekonomicznym, lecz również organizacją gospodarki, z zasadami leżącymi u podstaw funkcjonowania administracji oraz systemu podatkowego.

Drugi zespół czynników związanych z reformą gospodarczą stanowią społeczne reakcje na wszelką zmianę, a w szczególności na zmianę głęboką. Reakcje te, mimo częstych deklaracji pełnych zniecierpliwienia i nadziei, wyrastają w dużym stopniu z lęku przed nieznanym, z poczucia zagrożenia rozpadem świata, który jaki był, taki był,

lecz był już jednak znany i w znacznym stopniu oswojony, co nie znaczy, że akceptowany. Niszczenie części starych przyzwyczajeń, dezaktualizacja wielu sprawdzonych „sposobów na życie", osłabienie i tak bardzo kruchego względnego poczucia bezpieczeństwa wzmacniane jest, a w każdym razie wzmacniane zapewne będzie, przez pojawienie się wraz ze zreformowanym życiem zbiorowym nowych, ważnych czynników konkurencji i rywalizacji. By nie powodowało to skutków destrukcyjnych, musi wiązać się ze stabilnością reguł tworzących grupowe życie ludzkie. Źródeł tych reguł, stabilizatorów i wyznaczników ciągłości, można wskazać wiele, poczynając od rodziny, a kończąc na – szeroko, po durkheimowsku pojmowanej – religii. Jednakże w społeczeństwie współczesnym, zorganizowanym w państwo, taką rolę odgrywa szczególnie prawo.

Można wyróżnić dwa rodzaje władzy państwowej i dwojaką rolę prawa w państwie. Pierwszy z nich dotyczy władzy rewolucyjnej. Podstawą działań takiej władzy jest skuteczność, opiera się ona na części społeczeństwa, a nie na akceptującym ją całym społeczeństwie. Posiada swoich przeciwników, których zamierza unieszkodliwić albo pozyskać. Prawo, jeśli w ogóle jest ustanowione, jest tu narzędziem sprawowania władzy, jest formułowane i interpretowane z punktu widzenia postawionego celu, a celem najważniejszym jest zwycięstwo rewolucji.

Drugi rodzaj władzy, to władza legalna. Opiera się ona na prawie, wynika z prawa. Są to właściwe rządy prawa (a nie przy pomocy prawa), którego normy wiążą wszystkich: i tych, którzy właśnie mają władzę, i tych, którzy są jej pozbawieni. Prawo nie jest narzędziem władzy, lecz odwrotnie: to władza realizuje ustalenia prawa. W takim systemie „ludzie sprawujący władzę dzięki zajmowanej pozycji nie są władcami osobistymi, lecz tylko przełożonymi, czasowo piastującymi urząd i dzięki temu posiadającymi ograniczoną władzę (Reinhard Bendix: *Max Weber. Portret uczonego*, Warszawa 1975). Prawo chroni obywatela zarówno przed niebezpiecznymi czynami innego obywatela, jak i przed arbitralnością władzy. Aby tak być mogło, musi być spełnione kilka warunków. Poza podstawowym, dotyczącym sposobu stanowienia prawa, ważne jest również, by treść prawa była podana do powszechnej wiadomości, a odpowiednie przepisy mogły być przez wszystkich zrozumiałe.

Te dwa rodzaje władzy w rzeczywistości rzadko kiedy bywają wyraźnie rozdzielone, a tym bardziej doskonale przeciwstawne. Chodzi jednak o wybór którejś z dwóch odrębnych zasad, odmiennych pryncypiów, na których opierać się może państwo i władza. Tylko zasada druga, traktująca rządy prawa jako podstawę państwa, na dłużej zmniejszać może wspomniane niepokoje i lęki obywatelskie. Przyjęcie tej zasady pociąga też za sobą pewne konsekwencje: stabilne prawo nie może mieć zbyt szerokiego zasięgu – niepodobna dążyć do regulacji prawnej wszelkich przejawów życia społecznego i zarazem nie zmieniać często przepisów prawa i sposobów ich interpretacji. Omnipotencja państwa jest wrogiem jego sprawnego działania, obniża w rezultacie jego autorytet i poddaje erozji samo prawa. Prawo, by nie wymagało ciągłych

zmian, musi być wyraźne, lecz niezbyt szczegółowe, a jego tworzenie nie powinno być oparte na doraźnych względach. Mniejsza jednak o szczegóły – istotna jest wspomniana zasada ogólna, pozwalająca uznać szeroko akceptowane prawo za jedną z niezmiennych reguł życia społecznego, stabilizującą działanie państwa, które musi mieć zmienne rządy, ale powinno posiadać stałe pryncypia. Zreformowana gospodarka łącząca plan z rynkową samoregulacją, otwiera szersze niż dotychczas w Polsce pole działania dla konkurencji, lecz tym samym niesie też możliwość indywidualnych porażek. Porażki i sukcesy oraz uwzględniająca je życiowa kalkulacja powinny funkcjonować w ramach gry o stałych regułach. Świadomość ryzyka związanego z ewentualnością przegranej nie musi i nie może wiązać się z brakiem pewności, czy same reguły gry nie zostaną na piśmie lub w realnym działaniu zmienione.

Na rzeczywisty kształt zreformowanej gospodarki wpływ ma nie tylko społeczne rozumienie sprawiedliwości i rodzaj obowiązujących w zmieniającym się społeczeństwie reguł. Znaczenie ma również rynek pracy, jego zasoby, sposoby rekrutacji, dokonujące się na rynku przemieszczenia. Reforma i zmiana struktury gospodarki wymagają otwartego rynku pracy. Fluktuacja pracownicza, polegająca na przenoszeniu się ludzi z działów i przedsiębiorstw mało efektywnych do tych osiągających lepsze wyniki ekonomiczne, musi towarzyszyć przebudowie gospodarki. Im szerszy to będzie proces, tym bardziej może być on bolesny. Zmiana miejsca zatrudnienia lub konieczność robienia czegoś nowego w starym miejscu pracy, wymuszone ponowne zdobywanie kwalifikacji – nie są to nigdy działania łatwe. Mogą im towarzyszyć niemałe obciążenia psychiczne, czasem również kumulujące w napięciach społecznych. Ich pełna eliminacja nie jest zapewne realna, w szczególności wobec dokuczliwego braku mieszkań, co stwarza barierę ograniczającą łagodniejszy przepływ kadr. Można jednak starać się owe obciążenia zmniejszać. W programie reformy istnieją specjalne instytucje i fundusze mające ułatwiać zmianę zatrudnienia i adaptację do nowego zawodu. Jednak nie rozmaite pomocne instytucje, lecz (obok mieszkań) czynniki socjo-kulturalne, przywiązanie do swojego miejsca, do prywatnej ojczyzny, mają zapewne znaczenie decydujące, choć nie jedyne. Wobec gospodarczych wymogów zmiany miejsca pracy łagodzić ten proces mogą, odmienne od istniejących, zasady naszego szkolnictwa, w szczególności szkolnictwa zawodowego niższego, nienaturalnego szczebla. Dotychczas ten rodzaj szkół zawodowych wyposaża swoich absolwentów w bardzo wąskie kwalifikacje. Kwalifikacje nierzadko przypisane do jednego zakładu pracy, jednej umiejętności, w skrajnych wypadkach – przydatne do obsługi jednego rodzaju narzędzi. Szybkie tempo nauki, sporo zajęć praktycznych i zredukowany program przedmiotów ogólnych mają w krótkim czasie nauczyć konkretnego, wąsko pojmowanego zawodu. Zmiana miejsca pracy, zmiana narzędzi – pozbawiają takiego robotnika przydatnych do tego momentu umiejętności, stawiają go w sytuacji pracownika niewykwalifikowanego lub rozpoczynającego pracę. Lęk wywołany koniecznością rezygnacji z dotychczasowej, wydawałoby się jedynej, drogi

zawodowej powoduje niechęć do zmiany pracy, choćby nowa praca miała z czasem dawać większe profity.

Zatem nie szkoły wyposażające swych absolwentów w wąskie umiejętności zawodowe, lecz szkolnictwo dążące do rozwoju osobowości uczniów, kształtujące ich zdolności adaptacyjne do nieznanych dokładnie, przyszłych warunków pracy – jest szczególnie pożądane w gruntownie reformującym się społeczeństwie. Rzecz polega oczywiście na wyborze określonej, ogólnej zasady edukacyjnej – nie na zaprzestaniu nauczania zawodu, ale na uczeniu przede wszystkim umiejętności przystosowania się do przyszłych warunków, które, będąc w szkole, jeszcze niepodobna przewidzieć.

Wprawdzie nie z reformą, ale z kryzysem i załamaniem się w końcu lat siedemdziesiątych dotychczasowego układu gospodarki związane jest obniżenie się atrakcyjności studiów i wyższego wykształcenia. Nie jest to zresztą zjawisko w powojennej Polsce nowe. Występowało ono też bardzo silnie w początkach lat pięćdziesiątych, w okresie realizacji planu sześcioletniego. Młodzież albo chce szybko zarabiać pieniądze, albo przedłużyć sobie dzieciństwo i jak najdłużej być na uczelni. Szansa zajęcia się pracą naukową nierzadko nie jest przez młodych wykorzystywana, a dobrowolne rezygnacje z drogi akademickiej nie są faktami odosobnionymi. Istnieją tego przyczyny: ludzie po studiach zarabiają często mniej niż maturzyści. Ów brak ścisłego związku między wykształceniem a pracą i płacą nie byłby sam w sobie zły, gdyby nie przekroczono pewnego progu, ale to się właśnie stało. W latach osiemdziesiątych zanikła u nas uchwytna statystycznie zależność między latami nauki a wielkością zarobków, między wyższym wykształceniem a materialnym poziomem życia. Została przekroczona ważna społecznie granica: wysiłek wkładany w długą i przede wszystkim dobrą naukę, rodzinne inwestycje w uczące się i studiujące dzieci zrobiły się mało atrakcyjne, a nawet stały się nieopłacalne. Dobre stopnie w dzienniku lub w indeksie nie gwarantują dobrej pracy, a odłożenie kariery zawodowej na rzecz studiów nie oznacza – w widocznej perspektywie życiowej – nagrody w postaci lepszych zaborów. Z drugiej strony, zakłady pracy poszukują dobrych, wykształconych fachowców, odczuwają ich niedosyt i starają się, by przy pomocy rozporządzeń administracyjnych zapewnić sobie ich dopływ.

Może więc warto zastanowić się i nad zmianami zasad działania szkół wyższych. Nie ograniczając ich dostępności, należy w inny niż dotychczas sposób związać studia z ponoszonymi przez zainteresowanych kosztami. Nie myślę o wprowadzaniu opłat żywą gotówką, ale, na przykład, o stosowaniu przeznaczonego na ten cel kredytu. Kredyt taki byłby początkowo udzielany każdemu studentowi w wielkości stosownej do kosztów jego nauki. Po skończeniu szkoły mógłby być on umarzany lub nie. Umarzany byłby dla najlepszych studentów, którzy zaczynając pracę zawodową mieliby w ten sposób od razu wysokie zarobki. Pomijałoby to wszelkie dotychczasowe staże, okresy adaptacyjne i tym podobne zastępcze formy spłacania studiów. Studentom kiepskim, mającym wyniki gorsze lub przekraczającym czas pobytu na

uczelni, kredyt byłby umarzany częściowo lub nie byłby umarzany w ogóle. Trzeba by go spłacać przynosząc mniej pieniędzy do domu przez odpowiednio długi okres po studiach. W części kredyt mogłoby spłacać przedsiębiorstwo, któremu szczególnie zależałoby na zatrudnieniu u siebie pracownika o poszukiwanej specjalności.

Mniejsza jednak o szczegóły techniczne i zawiłości wykonawcze, można je rozbudowywać i dłużej się nad nimi zastanowić. Chodzi o generalną zasadę rzeczywistego powiązania – choć nie opartego na administracyjnych nakazach – nauki z pracą zawodową, związania jakości i wiedzy studenta z jego statusem materialnym z chwilą podjęcia pracy. Wytyczyłoby to wyraźną drogę życiową, pozwoliło młodemu człowiekowi skutecznie planować swoją biografię i łatwiej pokonywać jej progi. Nowe zasady, stwarzając równe szanse dla wszystkich powinny konsekwentnie premiować najlepszych, powodować, by intensywna nauka dawała nie tylko satysfakcje poznawcze, lecz również wyższy poziom materialny. Jest to zatem pewne uszczegółowienie wspomnianej idei przeciwstawiającej się zbyt rozbudowanemu, spychającemu w przeciętność egalitaryzmowi, idei doceniania zarówno swobody życiowych wyborów, jak i pożytków płynących z obecności tych wyborów.

Wymienione trzy zagadnienia nie są – rzecz jasna – jedynymi problemami pozagospodarczymi związanymi z reformą. Nie są też one łatwe do rozwiązania w praktyce, a podejmowane próby tego rodzaju zwykle ujawniają problemy nowe. Ale i niedostrzeganie ich, zaniechanie poszukiwań jakichkolwiek rozwiązań, rodzi również problemy, w przyszłości częstokroć trudniejsze do rozwikłania. Moją intencją nie było przeprowadzenie pełnej ewidencji owych spraw, lecz przedstawienie pewnego obszaru życia zbiorowego ważnego zarówno dla realizacji, jak i dla hamowania reformy. Wyrastające ze sposobu myślenia i odczuwania czynniki mają dla reformy mniejsze znaczenie, niż czynniki polityczne, administracyjne i gospodarcze. Każdy z nich jest istotny, a szczególnie ważne są wszystkie razem i właśnie tak, z uwzględnieniem ich powiązań, należy widzieć potrzebę i szanse reformy oraz planować tempo i sposób jej wdrażania.